

Szamani i czarownicy

Kiedyś sprawa była stosunkowo prosta – jeżeli człowieka dotknęło jakieś nieszczęście np. choroba, brał czarnego koguta albo coś podobnego i udawał się do miejscowego czarownika albo szamana po pomoc. Ten zarzynał koguta, przyskał na około krwią, okadzał pacjenta, dawał mu do noszenia stosowne amulety, wzywał duchy, walił w wielki bęben czasem zaordynował jakieś zioła. Tak to, w pewnym uproszczeniu, na ogół wyglądało a w społecznościach prymitywnych wygląda do dziś. Czy pomagało? Ano, na ogół... tak! Sama wizyta u czarownika była silnym, mistycznym przeżyciem. Sam czarownik mieszkał na uboczu w aurze tajemniczości, posiadał mnóstwo dziwnych „magicznych” przedmiotów budzących grozę, ubierał się odmiennie i pilnie strzegł swoich „tajemnic”. Tak wizyta to był szok psychiczny, lęk i trwoga. Taki wstrząs na ogół pomagał – choroby przechodziły. Nie każdy mógł zostać czarownikiem, choć zapewne wielu chciało, bo to dochodowy fach. Zwykle, taki szaman przez całe swoje życie wtajemniczał, w arkana swojej sztuki tylko jednego człowieka – na ogół własnego syna. To logiczne – gdyby czarowników było dwóch jego dochody spadłyby o połowę a tego nikt nie lubi.

Dziś śmiejemy się z takiej „ciemnoty”, „przesądów”, „zabobonów”. My jesteśmy już „światli”, „cywilizowani”. Nie robi na nas wrażenia czarny kogut i głupie talizmany. My to, co innego: ho, ho! My chodzimy do lekarza. To fachowiec – ma wiele tajemniczych przedmiotów, błyszczących, tnących, kłujących; czasem elektrycznych, które robią buuu, pip pip, a nawet błyskają podejrzanymi światełkami. Nie jest jasne, do czego służą, ale niektóre robią gig i nas kłują. Sam lekarz na naszą wizytę jest przygotowany starannie – ubiera specjalny strój, obwiesza się dziwnymi przedmiotami na szyi ma błyszczący stetoskop na głowie lusterko laryngologiczne. Oczywiście nie ma żadnego kadzidła, ale za to cały jego gabinet jest pełen dziwnych a podejrzanych „medycznych” zapachów. Oczywiście nie zanosimy mu żadnego koguta tylko pieniądze, ale za to w ilości wystarczającej na zakup całego stada kogutów, tłustego wieprzaka albo kilku koni (mechanicznych). No i koniec z ciemnotą – nie uznajemy żadnych kolorowych talizmanów. Tu dostaniemy receptę na lekarstwa – im droższe, bardziej kolorowe, „zagraniczne” w wymyślnym opakowaniu tym bardziej nam pomogą. Lekarz zaglądał nam w rozmaite miejsca, krwi upuści, a i przed innymi wydzielinami się nie wzdraga i da papierki zapisane dziwnym literkami i cyferkami pt. „wyniki”. Oczywiście lekarz nie jest ciemnym czarownikiem, który sam uczy swojego następcę – robi to za niego uczelnia. On tylko dba, aby lekarzy było jak najmniej – stara się jak może utrudniać karierę zawodową młodym lekarzom ograniczając ich liczbę, stwarzając trudne do pokonania bariery organizacyjne i finansowe dla młodych lekarzy chcących zrobić specjalizację. To wszystko rzecz jasna „dla dobra pacjenta”. Nie pozwala innym czarow... pardon lekarzom praktykować w swoim rewirze. Nie wiem czy wiecie, że istnieje odrębna medycyna chińska i indyjska (hakimowie) – nie są to żadni czarownicy ani znachorzy tylko regularni lekarze, którzy kształcą się przez wiele lat na wyższych uczelniach. Od europejskiej, akademickiej medycyny nie jest ona ani gorsza, ani lepsza – jest po prostu inna. W wolnych krajach tacy lekarze (bo tą są lekarze!) mogą praktykować swobodnie – u nas: zakazano! *Verboten!* Nawet na niszowe obszary jak ziołolecznictwo, akupunktura, a nawet żywienie niskowęglowodanowe etc. urzędowe medyki wilkiem patrzą i najchętniej by go zakazały. Rzecz jasna dla „dobra pacjenta”. Prawdę mówiąc czarownik był nawet nieco uczciwszy, bo koguta brał tylko od tego, który dobrowolnie do niego się pofatygował a współcześni szamani w białych kitlach łupią nas równo i to czy chcemy tego czy nie – za pośrednictwem ZUS’u (skrót od Zawsze Ukradną Składkę), ale i notorycznie „oddłużanych” za pieniądze podatnika, szpitali.

A może wrócić do zwyczajów sprawdzonych przez tysiąclecia? Hę?

Mariusz Warak